

JADWIGA KIWERSKA  
Poznań

## CZAS WIELKICH ZAWIROWAŃ

Przyszło nam żyć w przełomowym okresie dziejów. Staliśmy się świadkami wydarzeń zaskakujących, ważnych i często dramatycznych. Równocześnie, i to już niezależnie od woli narodów, społeczności i polityków, te historyczne procesy i zdarzenia zbiegły się z przełomem stuleci, a nawet tysiącleci. To wyjątkowy moment w historii.

Obserwowaliśmy więc koniec zimnej wojny, największego konfliktu drugiej połowy XX w., co wywołało prawie powszechny entuzjazm, potęgowany faktem, że tak naprawdę niewielu się tego spodziewało. Kres zimnowojennej rywalizacji, którego symbolem stał się dla jednych – upadek muru berlińskiego w listopadzie 1989 r., dla innych zaś – grudzień 1991 r., gdy to flaga radziecka została ściągnięta z Kremla, oznaczał niewątpliwie zmiany o wymiarze historycznym. Upadek imperium radzieckiego w Europie Wschodniej i kres komunizmu, przy utrzymujących się przez długi czas symptomach wewnętrznej destrukcji Rosji, zniszczyły dwubiegunowy układ sił, który przez blisko pół wieku porządkował (lub antagonizował) sytuację w świecie. Społeczność międzynarodowa przyzwyczaiła się do tego powojennego, zimnowojennego porządku, żeby nie powiedzieć, że się z nim pogodziła. Tymczasem nagle dotychczasową polaryzację na scenie międzynarodowej zastąpiła z jednej strony wyraźna dominacja, właściwie niekwestionowany prymat Stanów Zjednoczonych, z drugiej zaś – nasilające się procesy integracji państw i narodów. Co więcej, wydawało się, że następuje odejście od ideologii jako podłoża rywalizacji i sporów, umacniają się demokracja i wolny rynek, które już niedługo ogarną większą część ziemskiego globu. Była to sytuacja niemalże bez precedensu w dziejach nowożytnych.

Trudno jednak w takich momentach nie mówić o analogiach historycznych. Nie bez racji czas po upadku muru berlińskiego porównywano pod względem wyjątkowości do okresu w dziejach Europy i świata po upadku Napoleona czy zakończeniu dwóch wielkich wojen światowych. Również wówczas mężowie stanu, przywódcy i polityczni gracze – wskutek załamania się dotychczasowych układów i zależności, upadku imperiów i rozkładu struktur – stanęli przed koniecznością określenia na nowo obrazu Europy i świata. Wysilek taki podjęto na Kongresie Wiedeńskim w 1815 r., podczas konferencji paryskiej w 1919 r., w Jałcie oraz Poczdamie w 1945 r. Aczkolwiek osiągnane wówczas porozumienia polityczne i zawierane kompromisy oparte były na różnych zasadach: legitymizmu, wykluczającego prawa narodów do samostano-

wienia – jak było w Wiedniu, niedoskonałego systemu bezpieczeństwa zbiorowego, ale też uznania prawa do samostanowienia – co znalazło się w zapisach traktatu wersalskiego, czy wreszcie określenia strefy wpływów – jak stało się to w Jałcie, to jednak wszystkie one na czas jakiś ukształtowały porządek, nawet w skali globalnej.

Także wielkie wydarzenia przełomu 1989 i 1990 r., a potem początku XXI stulecia stawiały przed przywódcami, politykami nowe zadania, czasami wręcz bezprecedensowe wyzwania, na które nie było łatwych odpowiedzi. W sposób wyjątkowy aktywizowały również wyobraźnię historyków, politologów, filozofów. Mnożyły się koncepcje rozwiązań i wizje tego, jak będzie wyglądał świat w niedalekiej perspektywie. Furorę zrobił amerykański socjolog i filozof kultury Francis Fukuyama, ogłaszając w 1989 r. swą globalną prognozę o „końcu historii”. Fukuyama dowodził, że wraz z kresem zimnej wojny skończył się czas konfliktów. A skoro istotą historii jest konflikt, to tym samym skończyła się historia.

Kolejny wniosek, jaki nasuwał się automatycznie po upadku komunizmu – wroga liberalizmu, demokracji i wolnego rynku, to taki, że teraz właśnie te zasady będą dominowały na arenie międzynarodowej. Czyli cywilizacja świata upodobni się do modelu zachodniego. Pojawiały się też twierdzenia o zaniku interesów narodowych i umocnieniu kosmopolityzmu. Oczekiwano, że humanizacja stosunków międzynarodowych doprowadzi do niwelowania różnic w rozwoju gospodarczym, wspólnie będą rozwiązywane problemy globalne, nastąpi niemalże duchowe zjednoczenie świata.

Wiele faktów i wydarzeń z końca XX w. zdawało się potwierdzać te wielce optymistyczne prognozy. Po upadku komunizmu różne procesy doczekały się wreszcie swego pozytywnego zakończenia, przyspieszeniu uległo rozwiązanie wielu problemów, inne wydawały się bliskie dobrych rozstrzygnięć. Przede wszystkim państwa Europy Wschodniej, po odrzuceniu radzieckiej dominacji, wreszcie mogły czuć się wolne i suwerenne, niezależne w swoich wyborach i działaniach. Wkroczyły zatem na drogę demokratycznych przemian i budowy wolnego rynku. Otworzyły sobie tym samym drogę do integracji ze światem Zachodu, zarówno w sensie politycznym i militarnym poprzez Pakt Północnoatlantycki, jak i gospodarczym – dzięki Unii Europejskiej. Przelamywano w ten sposób jałtański podział Europy, stwarzano realną perspektywę poszerzenia obszaru stabilizacji i rozwoju na kontynencie europejskim.

Trudno też przecenić znaczenie, jakie dla sytuacji w Europie, a nawet porządku międzynarodowego w skali globalnej miało odrodzenie się w 1990 r. jednej państwowości niemieckiej. Istnienie podzielonych i w zamyśle osłabionych Niemiec po II wojnie światowej – jakkolwiek stanowiło pewną cenę za spokój Europy, swoistą gwarancję, że zła historia już się nie powtórzy – było równocześnie stanem nienaturalnym, wymuszonym dwubiegunowym podziałem świata, a przede wszystkim sprzecznym z zasadami wolnościowymi. Zatem proces zjednoczenia Niemiec – choć zaskakujący w tempie i nie do końca skalkulowany, jeśli idzie o koszty – oznaczał przekreślenie negatywnych dla narodu niemieckiego skutków II wojny światowej oraz przywrócenie Niemcom naturalnego stanu rzeczy. Wraz ze zjednoczeniem Niemiec znikła z mapy Europy kwestia niemiecka w jej dotychczasowym, dwudziestowiecznym wymiarze.

W zamian silna gospodarczo i politycznie Republika Federalna Niemiec, rozpościerająca się między Renem a Odrą, mogła oferować Europie, obok swego demokratycznego charakteru i pokojowego nastawienia, udział w niwelowaniu politycznych i gospodarczych podziałów na kontynencie.

Rodziło się zatem nieodparte wrażenie, że tworzy się nowa Europa – zintegrowana i oparta na bezpieczeństwie zbiorowym, gdzie wartości ogólnoeuropejskie zatriumfują nad partykularnymi interesami poszczególnych państw. Przekonanie to mogły utrwalić takie wydarzenia, jak otwarcie się Sojuszu Północnoatlantyckiego na nowe państwa z Europy Wschodniej. Akces Polski, Węgier i Czech do *NATO* w 1999 r. miał nie tylko symboliczny charakter – w sensie kolejnego przezwyciężenia jałtańskiego podziału Europy, gdyż dawne satelity Związku Radzieckiego przechodziły do zachodniej strefy, ale również oznaczał poszerzenie sfery bezpieczeństwa, ponieważ państwa te znalazły się pod parasolem ochronnym najsukuteczniejszej – jak się wydawało – struktury polityczno-wojskowej. Kolejne poszerzenie *NATO* w 2002 r. miało również przełomowy charakter, przede wszystkim dlatego, że państwami członkowskimi zostały m.in. Litwa, Łotwa i Estonia – dawne republiki radzieckie. Tak więc struktury euroatlantyckie wchodziły na terytorium dawnego Związku Radzieckiego.

Integracja Europy odbywała się również na płaszczyźnie gospodarczej (i politycznej). Otwarcie Unii Europejskiej na Europę Wschodnią nastąpiło wprawdzie dopiero w 2004 r., ale było to wielkie otwarcie, gdyż obejmowało zarówno dawne kraje satelickie ZSRR, jak i jego były republiki. Wiele jeszcze dzieliło dawne państwa komunistyczne od świata Zachodu, różnice w poziomie rozwoju gospodarczego nie zostały zniwelowane, jednak uzyskane dzięki przystąpieniu do UE środki i instrumenty miały bezprecedensowy charakter, stwarzały niepowtarzalne perspektywy postępu, m.in. poprzez gwarancję, że uczestniczymy w tym samym pozytywnym procesie integracji europejskiej.

Zawirowaniom przełomu lat 80. i 90. towarzyszyły również bardzo negatywne zjawiska. Dlatego mit Fukuyamy o końcu konfliktów, podobnie zresztą jak inne optymistyczne prognozy, został szybko obalony, tak w warstwie intelektualnej, jak i praktycznej – poprzez bieg wydarzeń. Wprawdzie zakończyła się walka komunizmu ze światem postępu, demokracji i wolnego rynku – ale nie było to równoznaczne z nastaniem ery spokoju i stabilizacji. Toczyła się dalej gra narodowych interesów, partykularnych ambicji i sprzecznych celów. Także elementy zimnowojennego porządku geopolitycznego, zmieniając swój charakter i burząc tym samym dotychczasową strukturę, przekazywały w spadku stare zagrożenia i nowe wyzwania. Z wieloma z nich świat nie umiał sobie poradzić. Znikały wprawdzie dawne podziały, ale traciły też wartość obowiązujące dotychczas proste reguły gry. Rodziło to niepewność, bądź wywoływało złe emocje.

I znowu szczególnym polem do obserwacji tych nowych/starych zjawisk stała się Europa Wschodnia, a zwłaszcza południowa jej część. Na Bałkanach ożywiły się zadawnione i „uśpione” w okresie panowania komunizmu antagonizmy dotyczące przebiegu granic, różnic etnicznych i religijnych, dysproporcji społecznych i gospodar-

czych, animozji politycznych. Sporom i kontrowersjom towarzyszyły głębokie nieraz przemiany ustrojowe, potęgujące napięcia. Ich efektem był wybuch skrajnego nacjonalizmu, nasilający się separatyzm, tendencje autokratyczne.

Gdy zachodnia część Europy jednoczyła się i zmierzała ku Unii Europejskiej, a Środkowo-Wschodnia starała się podążać jej śladem, to Europa Południowo-Wschodnia targana była procesami dezintegracyjnymi, które doprowadziły do wojny. Bałkany stały się w latach 90. areną najkrwawszych w powojennej Europie konfliktów. Najdłużej, bo od 1991 do 1995 r., trwała wojna w Bośni i Hercegowinie. I to nie tylko dlatego, że szczególnie ostro zadziały tam zadawnione właśnie etniczne, religijne i społeczne. Istotną przyczyną była niechęć mocarstw, skoncentrowanych na pomnażaniu swego dobrobytu, do angażowania się w konflikt jugosłowiański, ale przede wszystkim ich nieudolność, brak determinacji i skuteczności. Później, w 1999 r., naczony doświadczeniem Zachód, w tym głównie Stany Zjednoczone pospieszyły kosowskim Albańczykom z szybką i skuteczną pomocą.

Przy okazji doszło do znaczącego precedensu. Po raz pierwszy w ciągu półwiecza swego istnienia *NATO* zdecydowało się interweniować w imię praw człowieka (obrona albańskiej społeczności Kosowa poddanej brutalnym represjom ze strony Serbów), odrzucając zasadę poszanowania suwerenności państw (Jugosławii). Stało się to powodem ostrych sporów i poważnych zarzutów, że w świecie demokratycznym pojawił się groźny precedens: jedno państwo lub grupa państw decyduje się na interwencję zbrojną, choć sama nie była obiektem agresji. Pytano, czy względy moralne i humanitarne są wystarczającym powodem dla tego rodzaju akcji. Z drugiej strony zastanawiano się, czy wobec nowych wyzwań świat nie powinien zrewidować dotychczas obowiązujących zasad prawa międzynarodowego, dając przyzwolenie na takie działania w przyszłości.

W każdym razie determinacja Zachodu, a dokładniej Ameryki okazała się zbawienna dla Kosowa, choć nie przez całą społeczność międzynarodową była aprobowana. Takiego szczęścia nie miała Czeczenia, której dramat rozgrywał się na peryferiach polityki światowej. Zaangażowanie w ten konflikt Federacji Rosyjskiej, sukcesorki imperium radzieckiego, spowodowało, że świat – choć czasami protestował bardziej lub mniej ostro – to właściwie ten problem pozostawił do rozwiązania Moskwie. Ta zaś nie czuła się skrzepowana żadnymi normami, zasadami i względami. Zwłaszcza wtedy, gdy władzę w Moskwie objął zdeterminowany, skuteczny i bezwzględny Władimir Putin, dawny funkcjonariusz *KGB*. Na naszych oczach dokonywało się nie tylko krwawe tłumienie dążeń niepodległościowych Czeczenów, ale także fizyczne unicestwienie tego narodu.

Świat pozimnowojenny okazał się więc niestety także areną sporów politycznych, wojen i konfliktów zbrojnych. Niektóre z nich swą genezą sięgają czasów zimnej wojny, a nawet i okresu wcześniejszego. Takim „węzłem gordyjskim” pozostał konflikt bliskowschodni. Chociaż zmiany w sytuacji geopolitycznej po upadku komunizmu, stworzyły – jak się wydawało – nowe, jaśniejsze perspektywy dla rozwiązania tego konfliktu. Reprezentująca interesy palestyńskiej społeczności Organizacja Wyzwolen-

nia Palestyny, słusznie oskarżana przez Izrael o terroryzm, straciła poparcie swego radzieckiego adwokata, a także części świata arabskiego. To m.in. zmusiło ją do przyjęcia mniej wrogiego stanowiska wobec strony żydowskiej. Także w Izraelu narastała wola porozumienia się z Palestyńczykami. Efektem było podpisanie w 1993 r. przez Icchaka Rabina, premiera Izraela i Jasera Arafata, lidera OWP porozumienia z Oslo, a następnie utworzenie w 1994 r. Autonomii Palestyńskiej. Wojska izraelskie stopniowo opuszczały Terytoria Okupowane, które przechodziły we władanie Autonomii Palestyńskiej.

Proces pokojowy na Bliskim Wschodzie nie trwał jednak długo. Zabicie Rabina w 1995 r. przez żydowskiego ekstremistę oraz nasilenie działań terrorystycznych przez islamskie organizacje palestyńskie, w tym przede wszystkim Hamas zburzyły kruchy pokój. Ziemia Święta stała się znowu miejscem terrorystycznych zamachów, izraelskiego odwetu zbrojnego, kolejnej intifady, czyli powstania palestyńskiego, nieskutecznych prób mediacji, podejmowanych zarówno przez Stany Zjednoczone, jak i inne mocarstwa, wreszcie cierpień ludności po obu stronach frontu. Nic nie wskazywało na szybkie pokojowe rozwiązanie konfliktu.

Region Bliskiego Wschodu stał się na przełomie stuleci areną jeszcze jednego starcia, którego rozłożone w czasie konsekwencje miały wymiar globalny, prowadząc do zawirowań na ogromną skalę. Agresja Iraku na Kuwejt w sierpniu 1990 r. zmąciła klimat euforii, jaki zapanował w świecie polityki i dyplomacji tuż po upadku komunizmu. Uświadomiła wielu optymistom, że wbrew temu, co głosili, świat pozostał skonfliktowany, pojawiły się też wolne pola dla nowych zagrożeń. Podbój Kuwejtu przez irackiego sąsiada, oprócz tego, że był jawnym aktem agresji wobec suwerennego państwa, zagrażał też fundamentalnym interesom wolnego świata: stałemu napływowi ropy naftowej po przystępnych cenach i bezpieczeństwu prozachodnich rządów na Półwyspie Arabskim oraz w rejonie całego Bliskiego Wschodu. Nic dziwnego, że reakcja była zdecydowana i szybka. Inicjatorem i liderem działań była Ameryka. Wszak to Stany Zjednoczone, wskutek deprecjacji znaczenia ZSRR na arenie międzynarodowej i załamania się dwubiegunowego porządku w świecie, stały się *de facto* jedynym supermocarstwem, odpowiedzialnym w sposób szczególny za stabilizację i ład międzynarodowy. Wydawało się naturalne, że Ameryka przejmie w tym momencie rolę „żandarma” światowego. Tego zresztą oczekiwali sojusznicy i partnerzy Waszyngtonu.

Ponieważ środki dyplomatyczne zawiodły, Stany Zjednoczone, przewodząc bezprecedensowej koalicji wielu państw (obok siebie stanęli dawni przeciwnicy i konkurenci, kraje wywodzące się z różnych obozów ideologicznych), w styczniu 1991 r. rozpoczęły operację wojskową „Pustynna Burza”. Była to dość brawurowo i bez większych strat po własnej stronie przeprowadzona akcja, która w następnym miesiącu zakończyła się usunięciem wojsk irackich z Kuwejtu. Bezspornie był to triumf amerykańskiej technologii, profesjonalizmu i strategicznej wirtuozerii wojskowych. Ameryka potwierdziła swoją dominującą rolę na arenie międzynarodowej, sprawdziła się też jako lider wolnego świata.

Jednak w wymiarze politycznym i moralnym, ważny cel nie został osiągnięty. Saddam Husajn, dyktator Iraku utrzymał się przy władzy. Co więcej, jego pozycja wydawała się po upływie kilku tygodni od zakończenia operacji „Pustynna Burza” niezagrożona, umocniło się za to konfrontacyjne nastawienie Saddama do świata zachodniego, a zwłaszcza Ameryki. W tym chociażby aspekcie Irak pozostał nierozwiązanym problemem na amerykańskiej liście priorytetów.

Inną, dalekosiężną konsekwencją wojny o Kuwejt było usadowienie się USA w rejonie Zatoki Perskiej. Utworzone na potrzeby operacji „Pustynna Burza” amerykańskie bazy wojskowe w Arabii Saudyjskiej pozostały w tym regionie świata także po zakończeniu działań wojennych. Świadczyło to, że Zatoka Perska, ważna strategicznie i gospodarczo, znalazła się w sferze dominacji Stanów Zjednoczonych, a przynajmniej ich kontroli. Dla ortodoksyjnych wyznawców islamu oznaczało to zaś, że za przyzwoleniem reżimu saudyjskiego niewierni brukali ojczyznę Mahometa. „Nie spocznę, dopóki ostatni niewierny nie wyniesie się ze świętej ziemi islamu, a kraje muzułmańskie nie zostaną uwolnione od skorumpowanych hipokrytów, którzy przywłaszczyli sobie trony. Obalimy ich reżimy i państwa grzechu, a na ich gruzach zbudujemy Królestwo Boże” – zapowiadał w 1991 r. Osama bin Laden, przywódca Al-Kaidy, międzynarodowej siatki islamskich fundamentalistów. Ostrzegali też eksperci twierdząc, że przeciwko Ameryce może zwrócić się wrogość społeczeństw tego regionu, niechętnych miejscowym reżimom paktującym z niewiernymi.

Ale tak naprawdę wówczas jeszcze nie zdawano sobie sprawy, jak dramatyczny charakter i jak wielką skalę przybierze ów konflikt świata ortodoksyjnego islamu z cywilizacją Zachodu. Terroryzm międzynarodowy – patrząc z dzisiejszej perspektywy – stał się bowiem jedną z najczarniejszych „odsłon” pozimnowojennego świata. Data 11 września 2001 r. jest więcej niż symbolem. Zdaniem wielu wyznaczała właściwy początek XXI w., pokazując skalę zagrożenia, rodząc potrzebę znalezienia środków zaradczych, burząc ustalone reguły i doprowadzając w dalszej konsekwencji do przetasowań w hierarchii sił i mocarstw.

Terror jako sposób prowadzenia walki politycznej przy użyciu przemocy jest tak stary jak ludzkość. Celem terrorystów byli politycy, przywódcy, ośrodki władzy, urzędy, sztaby wojskowe. Chodziło z reguły o destabilizację społeczeństwa, wytworzenie psychozy i strachu, podważenie demokratycznych procedur państwa. Terrorysty atakowali na długo przed 11 września. Operowali na Bliskim Wschodzie, w Azji, Afryce i Europie. Podkładali bomby, porywali samoloty, dokonywali zamachów samobójczych, uprowadzali ludzi i brali zakładników.

Jednak Al-Kaida, uderzając 11 września 2001 r. na *World Trade Center* i *Pentagon*, czyli na najbardziej wrażliwe ośrodki polityczne, gospodarcze i wojskowe Stanów Zjednoczonych, dowiodła, że stanowi zagrożenie na ogromną, dotąd niespotykaną skalę. Po ataku na Nowy Jork i Waszyngton wiadomo było, że celem zamachowców nie jest już tylko garstka cywilów, czy kilkunastu pasażerów samolotu, ale setki, a nawet tysiące niewinnych ofiar. Liczył się bowiem efekt, im bardziej porażający – tym lepiej. Wcześniej terrorysty, porywając samoloty, uprowadzając ludzi, nawet

podkładając bomby, stawiali jakieś żądania polityczne, przy całej brutalności można było dostrzec pewne elementy racjonalności, proporcjonalności metod i celów. Teryoryzm przełomu wieków, ten spod znaku fundamentalizmu islamskiego nie stawiał żądań. Celem nie było wymuszenie czegoś lub zajęcie terytorium, zemsta czy odwet, lecz sianie zniszczenia.

Co gorsza, świat miał teraz do czynienia z przeciwnikiem gotowym na wszystko, który nie stosował się do żadnych reguł. Choć wiadomo było, że jest to fundamentalista pragnący narzucić całemu światu utopię, a jeśli się nie uda, to świat ten zniszczyć, to jednak w rzeczywistości wróg ten nie był do końca zidentyfikowany. Zapowiadała się więc walka z „armią cienia”. Bo stało się to, co później Henry Kissinger, amerykański polityk i dyplomata nazwał „prywatyzacją” polityki zagranicznej. Ataku na Stany Zjednoczone dokonały siły niekontrolowane przez żadne państwo, choć korzystające z potajmnego lub bezpośredniego wsparcia niektórych rządów. Już to utrudniało identyfikację wroga i komplikowało walkę. Wiadomo, że w takiej sytuacji nie będzie skuteczna strategia odstraszenia – tak ważna w okresie zimnej wojny, gdy trzeba było szachować Związek Radziecki i która stanowiła tak ważny atrybut Stanów Zjednoczonych. Dawniej potencjalnym agresorem były państwa silne, które można było obserwować, monitorować, reagować na ewentualne zagrożenia i odstraszać. Dyplomacja prowadzona nawet z pozycji siły, wydawała się jednak bezskuteczna w odniesieniu do grup, którym obcy był kompromis, gdyż uprawiali swego rodzaju rewolucyjną politykę zagraniczną wyrosłą na fanatyzmie i nienawiści.

Wreszcie, nie bez racji uderzenie na symbole amerykańskiej potęgi i amerykańskiego (zachodniego) stylu życia zmuszało, aby powrócić do głośnej swego czasu tezy Samuela P. Huntingtona, wyrażonej w esej *The Clash of Civilization?* Amerykański politolog przepowiadał w niej światu nowe zagrożenie: wiek XXI będzie zderzeniem cywilizacji, gdyż w konfliktach światowych znaczącą rolę zacznie odgrywać czynnik kulturowy. Ludzkimi poczynaniami kierować będzie nie tyle głód chleba, co pragnienie tożsamości, poszukiwanie wspólnych dla danej grupy symboli, tradycji, więzi religijnych. Globalizacja nie pociągnie za sobą westernizacji: upowszechnienia się ideałów świata zachodniego. Wprost przeciwnie, każdy z kręgów cywilizacyjnych będzie zabiegać o umocnienie swojej spójności i dominacji, a tam, gdzie ich interesy będą ze sobą kolidować (zwłaszcza na styku cywilizacji zachodniej z islamską) nieuchronnym rozwiązaniem będzie wojna.

Nie tylko przedstawiciele myśli konserwatywnej w świecie poszli tropem Huntingtona i atak Al-Kaidy oraz ten nowy terroryzm odczytali jak forpocztę wojującego islamu: „religii – ideologii totalnej”, którego zadaniem jest zniszczenie cywilizacji zachodniej, rozprawienie się z chrześcijaństwem i triumf wiary Mahometa. Ta święta wojna z Zachodem – dżihad ma na celu stworzenie państwa-królestwa, w którym odzwierciedlone zostaną nauki Koranu. W takim duchu pisała też słynna włoska dziennikarka i publicystka, niegdyś mocno lewicująca Oriana Fallaci: „fanatycy islamscy chcą zabijać nas i nasze dzieci tylko dlatego, że pijemy wino lub piwo albo nie nosimy długiej brody lub czarczafu”. Jej słynny artykuł *Wściekłość i duma*, opublikowany

tuż po ataku na Amerykę we włoskiej gazecie „Corriere della Sera”, był więc apelem o przebudzenie się świata zachodniej cywilizacji i podjęcie walki z islamem.

Włoska pisarka miała słuszność przynajmniej w części. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Osamie bin Ladenowi chodziło o wywołanie starcia cywilizacyjnego pomiędzy Zachodem a światem muzułmańskim. Chciał najprawdopodobniej wywołać antyzachodni odruch „arabskiej ulicy” i sprowokować Zachód do walki totalnej ze światem islamu. „Kilkunastu ludzi uzbrojonych w plastikowe noże za pomocą największych i najnowocześniejszych samolotów w Stanach Zjednoczonych zważyło największe budynki w kraju tylko po to, aby zwerbować światową armię mediów i sprowokować tę prawdziwą armię amerykańską do działań. Jej uderzenie na kilka krajów muzułmańskich i śmierć wielu niewinnych muzułmanów byłoby otwarciem drogi do wojny między Ameryką (Zachodem) a cywilizacją islamu” – pisał wybitny amerykański publicysta Jonathan Schell.

A zatem od tego, w jaki sposób społeczność międzynarodowa odpowie na terroryzm, zależało nie tyle powodzenie celów Al-Kaidy, ale przede wszystkim kształt świata, jego porządek i perspektywy. Takie wyzwanie stanęło głównie przed Ameryką, ugodzoną w sposób bezprecedensowy (ogromna skala zniszczeń, wyjątkowa spektakularność ataku, pierwsze uderzenie na terytorium USA, powodujące utratę poczucia bezpieczeństwa). Dramatyzm sytuacji, w jakiej znalazły się Stany Zjednoczone po ataku, wywołały żywą i powszechną reakcję w świecie. Dominowało współczucie i solidarność z Amerykanami. Państwo amerykańskie zyskało wówczas ogromny ładunek poparcia, zrozumienia, gotowości do współdziałania.

Administracja George’a W. Busha miała wielką szansę wykorzystania współczucia i solidarności do zbudowania czegoś konstruktywnego. Utrzymanie tej wspólnoty działania lub przynajmniej zagospodarowanie pewnej płaszczyzny współpracy było jednym z największych wyzwań dla Waszyngtonu. Chodziło nie tylko o umocnienie więzi z europejskimi sojusznikami, które po zniknięciu zagrożenia komunistycznego wyraźnie słabły, ale też o utwierdzenie skutecznego przywództwa amerykańskiego, czyli takiego, które uwzględnia współpracę i opiera się na zasadach akceptowanych przez wszystkie strony, potwierdzenie prymatu Ameryki, budzącego nie strach i niechęć, ale zaufanie i podziw. Wreszcie, co było bardzo ważne, pozwoli uporać się z terroryzmem.

Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że Stany Zjednoczone tej szansy nie wykorzystały. Co więcej, zmarnowały wielki kapitał zaufania i ogromne możliwości oddziaływania na sytuację międzynarodową. Siła moralna i poparcie, jakimi Ameryka cieszyła się we wrześniu 2001 r., uległy ogromnej deprecjacji, wzrosło natomiast w świecie uczucie niechęci i wrogości wobec amerykańskiego supermocarstwa. W dużym stopniu stało się tak dlatego, że ekipa Busha prowadząc swą wojnę z terroryzmem popełniła kolosalne błędy strategiczne i taktyczne. Przyjęta tzw. doktryna Busha (uznanie dla opcji siłowej w działaniu, odejście w razie potrzeby od multilateralizmu, możliwość prowadzenia akcji prewencyjnej, promowanie – także siłą – demokratycznych wartości w świecie) dokonała swego rodzaju rewolucji w stosunkach



międzynarodowych, gdyż łamała zasady porządku światowego. Efektem było m.in. bezprecedensowe zawirowanie w stosunkach transatlantyckich, stanowiących dotychczas jeden z czynników amerykańskiej siły, ale i dla Europy będących wyznacznikiem jej pozycji w świecie.

Przykra weryfikacja „doktryny Busha” dokonała się w Afganistanie i Iraku. Okazało się bowiem, że siłowa zmiana reżimów, nawet przeprowadzona w brawurowy sposób, jak stało się w Afganistanie pod koniec 2001 r. i dwa lata później w Iraku, nie rozwiązuje problemu i nie zmniejsza zagrożenia terrorystycznego. A przecież o to głównie w obu przypadkach chodziło. Zarówno Afganistan, jak i Irak – mimo zaangażowania ze strony USA i innych państw ogromnych sił oraz środków, mimo poniesionych ofiar – pozostały miejscami niebezpiecznymi, ogarniętymi terrorem i chaosem. Podważało to mit wszechpotężnej Ameryki, rodziło też uzasadnione wątpliwości co do perspektyw zwycięstwa w wojnie z terroryzmem.

Gdy zatem dzisiaj spoglądamy na sytuację w świecie, to widzimy eskalację terroryzmu i chaosu w różnych częściach świata. Wprawdzie nie przeżyliśmy niczego równie dramatycznego jak 11 września, jednak ataki terrorystyczne w Madrycie, Londynie, na wyspie Bali oraz Dżerbie, w Bombaju i Islamabadzie, samobójcze zamachy w Iraku i Izraelu – aby wymienić tylko niektóre akcje terrorystyczne – to kolejne setki zabitych i rannych. Osama bin Laden nadal ukrywa się gdzieś na pograniczu Pakistanu i śle stamtąd do swych zwolenników żarliwe apele o atakowanie niewiernych. Wojna z terroryzmem więc trwa i dzisiaj trudno określić, jaki będzie jej kolejny etap.

Dzisiejszy świat to również nowa konstelacja geopolityczna. Po zakończeniu zimnej wojny mieliśmy niewątpliwie do czynienia ze światem jednobiegunowym, zdominowanym i kształtowanym w dużej mierze przez *Pax Americana*. Taki porządek istniał przez lata 90. ubiegłego stulecia. Stany Zjednoczone cieszyły się wówczas zasłużonym statusem supermocarstwa, łącząc w sobie bezprecedensowy potencjał militarny, gospodarczy, technologiczny, kulturalny i polityczny. Wyznaczały standardy, normy i wartości, kreowały sytuację międzynarodową i miały decydujący wpływ na rozwiązywanie najważniejszych konfliktów.

Obecnie trudno nie dostrzec deprecjacji międzynarodowej roli Stanów Zjednoczonych, i to pomimo tego, że nadal dysponują one ważnymi atutami i ogromnym potencjałem. Jednak Ameryka traci decydujący głos w rozstrzyganiu problemów i sporów na arenie międzynarodowej, ma mniejszy wpływ na bieg spraw w świecie. Jest to w dużej mierze efekt błędów popełnionych przez administrację G.W. Busha (problemy w Iraku, Abu Ghraib, Guantanamo, nieudolny styl dyplomacji). Doprowadziły one do podważenia wiarygodności Ameryki, obniżenia jej prestiżu, zakwestionowania tego, co było ważnym atutem państwa amerykańskiego, wpływającego na jego rangę i autorytet – tzw. *soft power*.

Dla pełni obrazu trzeba jednak dodać, że osłabienie politycznej pozycji USA to też efekt zmian w porządku międzynarodowym, jakie dokonały się w ostatnim dwudziestolecu. Otóż jesteśmy świadkami pojawienia się nowych potęg, których rangę w dużym stopniu określa potencjał gospodarczy. To czynniki ekonomiczne spowodowały

wały, że w XXI w. nagle znaczenia nabrały nowe państwa i regiony. Na niespotykaną skalę gospodarka rozwijała się w Chinach, Indiach, Azji Południowo-Wschodniej, ale też Rosji, niektórych krajach Afryki, Ameryce Łacińskiej, *last but not least* zwiększała swój potencjał Unia Europejska. Tej dynamice gospodarczej towarzyszyła wielka ambicja i zwiększające się możliwości w zakresie działań politycznych. Wprawdzie nie wszystkie kraje chcą z tej rosnącej pozycji korzystać w równie wielkim stopniu i w podobnym charakterze. Chiny raczej chcą większej władzy, prestiżu i uznania w świecie, lecz pragną to osiągnąć poprzez włączenie się do systemu międzynarodowego, a nie przez jego obalenie czy przekształcanie.

Natomiast Rosja jest krajem, który pomimo „smuty” politycznej i załamania gospodarczego, towarzyszących rozpadowi Związku Radzieckiego, nigdy nie stracił zapалу, aby odzyskać swą mocarstwową pozycję, choćby w ograniczonym zakresie. Ostatnie lata sprzyjały tym celom. Wzrost cen ropy naftowej napędzał gospodarkę rosyjską, a brak sensownej polityki energetycznej Zachodu, w czym winę ponoszą również Amerykanie (zabrakło planu ograniczenia zużycia ropy i znalezienia alternatywnych źródeł energii), uzależnił wiele państw od dostaw z Rosji. Rządy Władimira Putina, który silną ręką opanował chaos z lat 90. i przywrócił Rosjanom optymizm oraz poczucie wielkości i dumy, spowodowały, że Rosja obecnie nie przypomina już tej, z którą świat miał do czynienia pod koniec ubiegłego stulecia.

Tak więc kraj ten w ostatnich latach zyskał nową twarz i nowe, większe możliwości gospodarcze oraz polityczne. Zamierzał z tego korzystać, burząc nawet ustalone zasady i normy postępowania, uciekając się do znanych z przeszłości metod działania: faktów dokonanych, szantażu energetycznego, egzekwowania siłą swych racji, prób odzyskiwania strefy wpływów (Ukraina, Gruzja, republiki zakaukaskie), czyli prowadzenia polityki imperialnej. Rosja pragnie być nie tyle partnerem co rywalem i konkurentem na arenie światowej i w ten sposób ponownie wyznaczyć drugi biegun porządku światowego.

Potęgą regionalną staje się Iran. Korzystając ze wzrostu cen ropy naftowej państwo ajatollahów stało się mocarstwem, które nie tylko odmawia podporządkowania się decyzjom wspólnoty międzynarodowej odnoszącym się do jej programu nuklearnego, ale ma wpływ na sytuację w Iraku, Libanie, Syrii, na terytoriach palestyńskich w Izraelu. Charakter tego państwa, antyzachodnia retoryka jego przywódców i prowadzona strategia stanowią nie tylko zagrożenie dla amerykańskich interesów w tym regionie, ale i wyzwanie dla polityki całego Zachodu.

W Ameryce Łacińskiej liczą się Brazylia, być może Argentyna, Chile, Wenezuela. Problem z tym regionem świata polega na tym, że Stany Zjednoczone, skoncentrowane na walce z terroryzmem, zaniedbały swych południowych sąsiadów. Nie potrafiły reagować w odpowiedni sposób na groźne tendencje. Tymczasem Ameryka Łacińska stała się nie tylko lewicująca, ale skrajnie antyamerykańska. Ton nadawali rewolucyjni i populistyczni przywódcy, dla których wzorem był Fidel Castro, a nieformalnym liderem Hugo Chávez. Atutem prezydenta Wenezueli była drożejąca ropa naftowa. Zyski z eksportu służyły wspieraniu innych antyamerykańskich reżimów w Ameryce Łaciń-

skiej. W ten sposób prezydent Wenezueli przejął rolę, którą poprzednio, w ramach, czy to doktryny Monroe'a, czy polityki dobrosąsiedzkiej, pełniły w tym regionie świata Stany Zjednoczone.

*Last but not least*, ważnym elementem zmieniającego się świata staje się Unia Europejska. Jako struktura zintegrowana przede wszystkim gospodarczo stworzyła pewien wzorcowy model rozwoju, ale też służyła pomocą i wsparciem. Rynek unijny jest największy na świecie, europejskie technologie w coraz większym stopniu wyznaczają standardy, a kraje UE należą do największych dawców pomocy rozwojowej. „Europa ma do zaoferowania światu doświadczenia i umiejętności, jakich nasza planeta w obecnych opałach potrzebuje bardziej niż czegokolwiek innego” – dodaje Zygmunt Bauman. Chodzi o wypracowaną przez Europejczyków, po dramatycznych doświadczeniach przeszłości, umiejętność korzystnego współżycia pokojowego, i to pomimo dzielących ich różnic i uprzedzeń.

Wszystko to procentuje w formie większych politycznych wpływów Unii Europejskiej. Staje się ona partnerem bardziej pożądanym, bo mniej kontrowersyjnym i aroganckim niż np. Ameryka. Nie ma skłonności do działania jak hegemon. Myśl tę rozwija Robert Kagan: Europa chce roli światowego autorytetu moralnego oraz wpływów politycznych i ekonomicznych (jako antidotum na militarizm). Zaczyna więc wyznaczać kolejny biegun nowego międzynarodowego układu. Zdaniem niektórych specjalistów tworzy się porządek, w którym główną rolę odgrywa obok USA i Chin, także Unia Europejska. Ta nowa Wielka Trójka dyktuje reguły i wzorce, a innym państwom pozostaje tylko wybrać sobie partnerów w tym kształtowanym obecnie świecie. Intensywnie walczy ona o wpływy, o to, kto kogo do siebie przyciągnie. Z pewnością nie ułatwia to wzajemnych relacji w ramach tego trójkąta. Ma to znaczenie szczególnie w odniesieniu do układu Ameryka – Unia Europejska, bo oba jego członki należą przecież do tego samego zachodniego świata wartości i zasad, a coraz wyraźniej zaczyna ich dzielić sfera interesów i celów, rywalizacja o wpływy i możliwości oddziaływania

A zatem jesteśmy świadkiem kształtowania się świata zróżnicowanych i silnie ze sobą konkurujących potęg, w którym Ameryka przestaje być hegemonem, zdolnym narzucić swój punkt widzenia i swoje rozwiązania. Oznacza to koniec jednobiegowego porządku globalnego. W tym nowym świecie pozostaje do rozwiązania mnóstwo większych i mniejszych problemów, nierozstrzygniętych konfliktów i sporów. Nie uda się społeczności międzynarodowej podołać tym wyzwaniom, jeśli zabraknie zdeterminowanych, mądrych przywódców oraz powszechnej woli współdziałania z nimi w przezwyciężaniu problemów współczesności.

*ABSTRACT*

*The two last decades have been exceptionally eventful. The end of the cold war, symbolized by the collapse of the Berlin wall in 1989 triggered historic changes on the international scene. The processes that were underway accelerated, others were launched, new phenomena and challenges emerged, "dormant" antagonisms erupted with sometimes enormous force, new and so far unknown threats appeared. Although in many aspects the world has changed for the better (there is more integration, the sphere of democracy and free market has expanded) we have also been faced with many difficult and complex problems (terrorism, growing nationalism, imperial aspirations). That is why the situation in the world today demands from the international community greater solidarity, decisiveness, and well thought-out actions.*